



# Kopysno w opowieści

## Część II

**Czytając opowieść pamiętaj, że jej tekst nie został poddany zewnętrznej korekcie i redakcji, lecz mimo niedoskonałości, autor zgodził się ją opublikować i chętnie przyjmie wszelkie uwagi i spostrzeżenia, które należy kierować na adres:**

**[kopysno@kopysno.pl](mailto:kopysno@kopysno.pl)**

Opisane wydarzenia, poza wyjątkami znanymi autorowi, nigdy nie miały miejsca i choć występują w nich osoby, które rzeczywiście istniały, zamieszczone opowiadania powstały jedynie w jego wyobraźni i są fikcyjne.

*Pracę tę poświęcam swoim dziadkom i rodzicom, bez których nigdy nie powstałyby opowieści z Kopysna.*

*Autor*

## **Tajemnicze akta w kance na mleko**

## **Polska, Kopysno i okolice. Koniec lat 70. XX wieku.**

Tych dni spędzonych w Kopysnie nigdy nie zapomnę, choć wydarzenia, które ją poprzedziły, nie wskazywały na nic szczególnego i wartego uwagi.

Były to czasy, w których wyobraźnię i wrażliwość na świat kształtowały przedmioty, dźwięki i zapachy natury, a nie stworzone ręką ludzką ich nieudolne podróbki, zamknięte w plastikowych, prostokątnych urządzeniach wymagających co jakiś czas uzupełnienia energii, by mogły nadal funkcjonować.

Z bratem i z kuzynem, który przyjechał do nas na wakacje, postanowiliśmy odwiedzić dziadków w Kopysnie. Nie mogliśmy liczyć na dogodny transport, więc wyruszyliśmy z Huwnik pieszo uczęszczanym traktem.

Chcąc skrócić sobie drogę do Kopysna, kilkaset metrów od skrzyżowania z drogą prowadzącą do miejscowości Makowa, skręciliśmy w prawo i weszliśmy na polną drogę prowadzącą, jak się wtedy mówiło, koło Fizia.

Kiedy dotarliśmy do jego zabudowań, odbiliśmy nieco w lewo, idąc wydeptaną kołami furmanek drogą wzdłuż wzniesienia nad potokiem Kamiennym, z którego roztacza się chwytający za serce piękny krajobraz, którego mimo chorych ambicji możliwych tego świata, jak i chcących ratować klimat

naszej Ziemi, nikt jeszcze nie zaburzył i nie upstrzył martwymi elektrowniami napędzanymi wiatrem.

Idąc dalej wzdłuż wzniesienia, skręciliśmy w lewo wkraczając pełną koleiną drogą do ulubionego przez nas sadu, gdzie opuszczone przed laty owocowe drzewa, wbrew woli ich właścicieli, nie zmieniły swej natury i nadal chwałyły się dorodnymi owocami wśród obcych drzew, które widocznie miały ukryć w swych koronach miejsca, gdzie kiedyś mieszkali ludzie, a których wyproszono i skazano na nie zawsze odwzajemnioną miłość do nowego miejsca.

Opuszczając sad znaleźliśmy się na głównej drodze prowadzącej z Rybotycz do Kopysna i idąc dalej drogą w górę, skręciwszy na lewo, gdzie po obu stronach witały nas śliwy, dotarliśmy wreszcie do domu dziadków.

Nie mogliśmy liczyć u Nich na jakieś luksusy, żyli skromnie, ale mieli nadzwyczajne serca i byli szlachetnego usposobienia. Zmęczeni wędrówką, spoceni, wybłoceni, ale szczęśliwi i nie spróbawwszy nawet placka z ziemniakami, które piekła ciocia Michasia, a który był bardzo smaczny, padliśmy na łóżka i szybko zasnęliśmy śniąc o przygodach następnego dnia.

Ciocia zdążyła zdjąć z nas tylko obłocone buty, bo z resztą odzienia nie mogła dać sobie już rady.

\*\*\*

Rankiem zostaliśmy zerwani z łóżek, by pomóc cioci wypędzić owce na pastwisko niedaleko Sosenek, do których prowadziła uczęszczana droga, a potem ciernista ścieżka.

Nie było to dla nas zbyt interesujące zajęcie. Ciocia Michasia próbując nas zachęcić do pozostania opowiadała, że owce do Kopysna przyprowadzili jeszcze w XIV wieku Wołosi i do dziś można spotkać ślady ich obecności. Mochowisko, Kosarzyska to nazwy wołoskie, których nadal się używa. Ponadto, jak wspomniała, sam książę Leon Sapieha z Krasieczyna leczył w Kopysnie żętycą chorą na płuca żonę Jadwigę i jak wyjaśniła, była to serwatka ze ściętego mleka owczego, którą zalecił jej jakiś lekarz ze Lwowa.

W tym czasie historia nie była przedmiotem, który nas szczególnie fascynował, więc szukaliśmy okazji, by czmychnąć z pastwiska i w sadzie niedaleko domu dziadków poganiać i postrzelać z łuku.

Ciocia jednak nie odpuszczała i próbując nas zatrzymać, chwyciła jedną ze spokojliwych owiec i wsadziła mnie na jej grzbiet, co nie spodobało się zwierzęciu, a zwłaszcza trykowi, który przyglądał się tym ekscesom. Najpierw jak sądzę czynił to z ciekawości, ale jak tylko ruszyłem niczym jeździec na Wielkiej Pardubickiej, bo widocznie odezwały się we mnie

geny moich czeskich przodków, zaczął grzebać w ziemi przednim kopytem i gotował się do użycia swych dużych, krętych rogów. Jego zapędy szybko mnie przekonały, bym zakończył atrakcyjną jazdę i opuścił miejsce nie przeznaczone dla mnie, co mogło skończyć się długotrwałym moczeniem pośladków w miednicy wypełnionej kwaśną wodą.

Po tym zdarzeniu uznaliśmy, że będzie lepiej, jak poganiamy jedynie po łąkach bez określonego celu.

\*\*\*

Kiedy zapadał zmrok, leżeliśmy już w izbie męcząc się z powodu obfitych kołder z gęsich piór, które nas wręcz wgniatały w łóżka, nie wspominając o okazałych poduszkach pod głowę.

Próbowaliśmy zasnąć, kiedy kuzyn zauważył, że w jednej z lamp naftowych w izbie dymi knot.

„Widocznie Dziadek zapomniał dolać nafty.” – stwierdził mój brat.

„A może nadszedł kres dla knota, który już wczoraj brudził szklany klosz?” – zapytał kuzyn.

Tego lata nie było wśród nas wujka Michała z Elbląga, który w takich okolicznościach zawsze potrafił nas zaciekawić niezwykle bajkami o zwierzętach. Widocznie ciocia Marysia

miała dla niego inne plany i pewnie razem pojechali na wycieczkę do Tuchowa.

Babcia krzątała się w kuchni, ciocia Michasia była już w łóżku, a Dziadek swoim zwyczajem obchodził skromne gospodarstwo, lecz bardzo szybko wrócił z pola, bo mu zgasła latarka. Miał zwyczaj zapasowe żarówki trzymać w małej szafce pod zamknięciem, a zużytym bateriom dodawał energii, kładąc je na piecu w kuchni. Nie mówiąc nikomu, co się stało, poszperał coś w latarce i po chwili z mocnym strumieniem światła wyszedł, by kontynuować swój obchód.

Myśliwi, którzy wyjechali po południu zabierając ustrzelone na Dziale dwa medalowe jelenie i pięć odyńców zostawili w chacie myśliwską latarkę, ale Dziadek nie chciał z niej korzystać, bo uważał, że nie można korzystać z uprzejmości tak ważnych gości, nie wspominając o tym, że przez kilka dni goście ci spali na sianie w stodole i myli się wodą ze studni znajdującej się blisko działki sąsiada, Kettnera.

Babcia każdego dnia raczyła myśliwych świeżym twarogiem ze śmietaną, a także wyborną jajecznicą na maśle, które Dziadek za każdym razem, gdy ubił je, trzymał w drewnianej maselnicy w zimnej piwnicy obok chaty. O powidłach ze słodkich śliwek węgerek, nie wspomnę, bo był to rarytas, którym mało kto mógł pochwalić się w mieście.



\*\*\*

Ciocia Michasia smacznie spała, pochrapując co jakiś czas. Mój brat zasnął, a kuzyn przewracał się z boku na bok, gdy Dziadek Mikołaj, który nigdy nie ulegał emocjom, nagle wparował do chaty i obudziwszy Babcię, coś jej zaczął opowiadać, lecz przez zamknięte drzwi do izby niewiele można było usłyszeć i zrozumieć o czym rozmawiali.

„Ktoś próbuje coś ukraść z kapliczki świętego Jana... widziałem jakieś światła... pójde zobaczyć.” – Dziadek próbował uzasadnić swoje zamiary, lecz Babcia nie była tym zainteresowana.

„Stary, idź spać... to pewnie turyści od Bomby... rano trzeba jechać do sklepu..., a ty mi tu o jakichś światłach.” – Babcia zmęczonym głosem próbowała zniechęcić Dziadka do nocnej eskapady.

Dziadek, jak się później dowiedzieliśmy, mimo próśb małżonki, której zasadniczo się nie sprzeciwiał, tym razem zrobił wyjątek i udał się na miejsce, gdzie widział tajemnicze światła. Idąc drogą, która biegła niedaleko potoku Kamiennego, pokonawszy pewien odcinek, wszedł do lasu, gdzie stała kapliczka, lecz poślizgnąwszy się na mokrym konarze, upadł i spłoszył nieznaną osobę, która w pośpiechu, uciekając drogą w stronę Rybotycz, upuściła jakiś zwitek papieru.

\*\*\*

Kapliczka świętego Jana w Kopysnie została wzniesiona przez chłopów w 1848 roku, jak wiele innych na terenie Galicji, na znak zniesienia pańszczyzny w cesarstwie austriackim, do czego przyczynił się ówczesny Gubernator Galicji hrabia Franciszek Stadion.

Niemal w każdej wsi chłopci pańszczyźniani zaczęli wtedy urządzać symboliczne pogrzeby pańszczyzny, w których uczestniczyli nawet kapłani<sup>1</sup>. Wcześniej sporządzano trumienki adekwatne do wielkości akt powinności, które zawierały informacje o ilości i rodzaju obowiązkowych prac, jakie mieszkańcy wsi mieli wykonać dla miejscowego właściciela majątku ziemskiego.

W miejscu pochówku akt zazwyczaj stawiano kapliczkę albo krzyż lub sadzono drzewo, co miało zapobiec ich odkopaniu, bo ktoś miałby odwagę ruszyć przedmiot kultu religijnego, by sięgnąć po akta lub wykopać drzewo?

Chłopi wielką wagę przywiązywali do zakopanych przedmiotów związanych z pańszczyzną. Wszelka próba ich wydobywania z ziemi uważana była za próbę powrotu do pańszczyzny.

---

<sup>1</sup> Zob. <http://www.1917.net.pl/node/5227>.

Na terenie Bieszczadów w latach międzywojennych, gdy z powodu poszerzenia drogi zaszła konieczność przeniesienia kapliczki w inne miejsce, doszło do protestu chłopów, którzy uznali, że chcą im przywrócić pańszczyznę.

Protesty te objęły inne wsie, gdzie chłopci uzbrojeni w różne podręczne narzędzia, w tym siekiery, kosy i widły zaczęli bronić swych spraw, i gromadząc się w miejscu „zakopania pańszczyzny” nie chcieli dopuścić do jej przywrócenia.

Spotkało się to z ostrą reakcją władz, która chciała ich rozpędzić. Niestety w jednej wsi akcja policji skończyła się tragicznie, w wyniku postrzelenia przez funkcjonariusza zmarł protestujący chłop.

\*\*\*

Następnego dnia rano, gdy wstaliśmy z łóżek, Dziadek w kuchni ostrzył brzytwę na skórzanym pasku, bo przed każdym wyjazdem z domu zawsze dokładnie musiał się ogolić. Poza tym miał odwiedzić do Rybotycz ciocię Michasię na autobus w stronę Huwnik, gdzie mieszkała jej siostra, której miała pomóc w przygotowaniach do rocznicy ślubu.

Dziadek jak zwykle nie był skory do opowiadania o wszystkim czego doświadczył. Gdy skończył golenie, wiedząc że jesteśmy bardzo ciekawi co wydarzyło się wczoraj

wieczorem, włożył prawą rękę do kieszeni kamizelki i wyjął jakiś zwitek papieru. „Trzymaj! Może wam się to przyda.” – zwracając się do brata podał mu go.

Ciekawskie nasze oczy zaświeciły się i chwyciwszy podarowany papier weszliśmy do głównej izby, by zobaczyć co to jest i co zawiera.

Był to fragment sporządzonej w języku niemieckim mapy obejmującej część wsi Rybotycze i Kopysno. Przeglądając ją z różnych stron niczego na pierwszy rzut oka nie dostrzegliśmy.

Mój brat wzięwszy mapę „pod światło” zauważył jednak, że jest na niej zarysowane jakieś kółko. Widocznie ktoś chciał ukryć poszukiwane miejsce i tak zaznaczył je na mapie, by było możliwe do zlokalizowania tylko przez odpowiednią osobę.

Wiedzieliśmy już gdzie znajduje się miejsce poszukiwań człowieka, którego spłoszył Dziadek, lecz nie wiedzieliśmy czego on w tym miejscu szuka.

\*\*\*

Dziadek po powrocie z Rybotycz, przy obiedzie, w rozmowie z Babcią powiedział, że ciocia Stefka z Rybotycz ma na kwaterze jakiegoś naukowca z Kanady, który za każdym razem gdy coś dla niego zrobi, wręcza jej banknoty, co jest dla niej nieco irytujące.

„A ty wiesz, jaki on ma apetyt? Wręcz połyka wszystko co Stefka ugotuje.” – ze zdziwieniem oznajmił Dziadek.

„A po co on tu przyjechał?” – zapytała Babcia, popijając jak zwykle herbatkę z dziurawca, która od lat królowała na stole u dziadków.

„Podobno ćmy łapie w nocy, a wczoraj to wrócił bardzo późno, cały zmoknięty i ochlapany błotem. Stefka skarżyła się, że wchodząc do domu naświnił w sieni i musiała za niego sprzątać.” – odpowiedział Dziadek.

„A kiedy wcześniej chciała zrobić porządek w jego pokoju, to oburzył się i stanowczo zakazał jej wstępu, gdyż jak twierdził, ma tam cenne okazy owadów, które mogłyby zniszczyć. A poza tym to miły człowiek, pięknie mówi po polsku i ukraińsku. Na nic się nie skarży.” – dodał Dziadek.

Naukowiec cioci Stefki nie spodobał się nam, gdyż wydawał się podejrzanym, więc postanowiliśmy przyjrzeć się mu z bliska, co nie było łatwe, bo dziadkowie nie pozwalali nam zbyt daleko oddalać się od domu.

Wpadliśmy więc na pomysł, że tej nocy będziemy spać w stodole na sianie, tak jak zawsze robią to myśliwi, którzy zatrzymują się u dziadków podczas polowania.

„Na sianie? Zmarzniecie, noce są teraz chłodne.” – próbowała nas zniechęcić Babcia.

„Ależ Babciu, weźmiemy koce i się nimi przykryjemy... .”- próbował przekonać Babcię kuzyn.

Wtem wtrącił się do rozmowy Dziadek.

„Niech śpią w stodole, dowiedzą się wreszcie, jak wygląda prawdziwe życie na wsi.” – stwierdził Dziadek, czym przekonał Babcię.

\*\*\*

Tej nocy nie zamierzaliśmy spać, a tym bardziej walczyć z sianem, które przeciskając się przez prześcieradło raniło całe ciało, tak że rankiem było całe pokłute. Chyba że ktoś, w odróżnieniu od nas, lubił spać w piżamie, to nie miał takich problemów.

Wzięliśmy jednak ze sobą pościel, podwójne koce i... czarną pelerynę Dziadka, którą często zabiera ze sobą, gdy pada deszcz. Tym razem miała pełnić inną funkcję, maskować nas w lesie, do którego mieliśmy udać się, gdy dziadkowie zgaszą lampy naftowe i zasną.

Pojawił się jeden problem, bo nie mieliśmy latarki, a była nam potrzebna po zmroku. Kuzyn z bratem uznali, że pożyczą latarkę myśliwych, którzy zapewne nie pogniewają się na nas, gdy poznają przyczyny, dla których to robimy.

Wielu z nich to milicjanci i wojskowi, więc liczyliśmy, że doskonale będą nas rozumieć. Po akcji oczywiście mieliśmy

szybko ją zwrócić i położyć do szuflady w głównej izbie, gdzie leżała.

\*\*\*

Żeby nie wzbudzać podejrzeń, opuszczając stodołę pozwijaliśmy koce tak, żeby z daleka było widać przynajmniej zarysy osób śpiących na sianie.

Przechodząc przez drogę weszliśmy do sadu, i idąc dalej staraliśmy się tak korzystać z latarki, żeby nikt ze strony wsi nas nie zobaczył. Kuzyn trzymając ją blisko ziemi, gdy tylko byliśmy na łatwym do pokonania terenie, wyłączał ją.

Idąc wzdłuż potoku Kamiennego weszliśmy wreszcie do lasu, gdzie wcześniej upatrzyliśmy sobie miejsce, skąd mieliśmy obserwować teren.

Niedaleko kapliczki rosła grupa dorodnych grabów, gdzie ulokowaliśmy się, układając wcześniej na ziemi suche sosnowe gałęzie, co nie było dobrym pomysłem jak okazało się później, z powodu żywicy, która przykleiła się nam do spodni.

Babcia nie była z tego powodu zadowolona, gdyż biorąc do prania naszą odzież miała problem z jej usunięciem. Pomógł jej Dziadek wyjmując butelkę terpentyny ze swego schowka w kuźni, którą w połączeniu ze spirytusem w odpowiednich proporcjach, Babcia użyła, ratując nasze quasi dżinsy.

Ułożyliśmy się wygodnie na gałęziach i przykrywając peleryną Dziadka, zaczęliśmy nasłuchiwać, licząc na to, że nasz nieznajomy wkrótce się pojawi.

Była godzina ok. 23. Księżyc schował się za chmury i wiał lekki wiatr. W głębi sadu słychać było pohukiwanie sowy, która rozpoczęła polowanie na gryzonie, a było ich wiele, zwłaszcza w pobliżu zabudowań gospodarskich, i którymi kot dziadków nie był za bardzo zainteresowany.

Gdy tylko pojawił się w chacie, wypijał od razu dwa litry mleka, a że był duży i dobrze zbudowany mimo tego, że ktoś pozbawił go części ogona, nadal wyglądał groźnie i wołał polować na zwierzęta odpowiednie dla niego.

Pewnego razu, ku wielkiemu zaskoczeniu myśliwych goszczących u dziadków, przyniósł w pysku młodego borsuka. Taki z niego był łowca.

We wsi co jakiś czas słychać było psa Kettnerów. Być może wyczuł lisa, który od tygodnia zakradał się do kurnika i już wcześniej wyniósł kilka kur, co mocno zirytowało gospodarza, który co noc czuwał, i gdy tylko usłyszał szczekanie psa, zrywał się na nogi i zaglądał do kur.

Tej nocy zapewne spał, bo widocznie poprzedniego dnia udało się mu dobrze zabezpieczyć kurnik; niemal całe



po południe słyhać było przy nim jakieś prace; ktoś stukał, przeżywał deski, wbijał gwoździe.

\*\*\*

Wiatr nagle przestał przepędzać powietrze i nastąpiła cisza, co nie sprzyjało czujności, bo poczuliśmy potrzebę snu.

Mój brat jednak nie poddawał się i co jakiś czas unosząc pelerynę, nasłuchiwał co dzieje się wokoło, a zwłaszcza od drogi z Rybotycz prowadzącej przez las Grabnik.

Gdy prawie zasypialiśmy, szepnął do mnie:

„Jasiek, ktoś ze wsi idzie w naszą stronę.”

„Pewnie jakiś kłusownik wybrał się po swoje żniwo.” – odpowiedziałem bez głębszej refleksji.

Osoba idąca z Kopyzna drogą pełną kolein, nagle zatrzymała się i podeszła do kapliczki świętego Jana.

Noc była ciemna i mogliśmy polegać wyłącznie na tym, co potrafiły dostrzec nasze oczy. Latarki nie chcieliśmy używać, by nikogo nie spłoszyć.

Nieznana nam osoba podeszła do kapliczki i dyskretnie świecąc latarką do jej wnętrza, chwyciła za drewnianą figurkę świętego Jana i szybko włożyła ją do worka, który trzymała na ramieniu. Następnie wyjęła z niego nieduży przedmiot i postawiwszy na półce w kapliczce, szybko oddaliła się.

Nie dociekaliśmy kim była ta osoba, bo tej nocy czekaliśmy na zupełnie kogoś innego.

Następnego dnia mój brat stwierdził, że ktoś podmienił figurki i w miejsce drewnianego świętego Jana, postawił gipsową figurkę przedstawiającą postać kobiety, zwanej przez katolików Matką Boską. Nie mieliśmy jednak czasu i ochoty, by zająć się tym zdarzeniem.

\*\*\*

Jan Welfin z Pomuku, zwany też Janem (Johankiem) Nepomucenem<sup>2</sup> urodził się pomiędzy 1340 a 1349 rokiem w niewielkim miasteczku Pomuk koło Pilzna w Czechach.

Ten czeski duchowny katolicki, kanonik, w 1393 roku na rozkaz króla czeskiego Wacława IV Luksemburskiego, jak podają niektóre źródła, po uwięzieniu i torturach miał zostać utopiony w Wełtawie za zdradę majestatu lub, jak inni twierdzą, z powodu odmowy wyjawienia królowi treści słów wypowiedzianych podczas spowiedzi jego żony, którą podejrzewał o romans<sup>3</sup>.

Zanim Jan Nepomucen został beatyfikowany, co miało miejsce w 1721 roku przez papieża Innocentego XIII, a w 1729

---

<sup>2</sup> Takie przydomek nadano mu po jego kanonizacji, który oznacza „milczący”.

<sup>3</sup> Więcej o Janie Nepomucenie - <http://naszesudety.pl/svaty-jan-nepomucky.html>

roku kanonizowany przez papieża Benedykta XIII, uchodził za nieformalnego patrona Czech.

Po uznaniu go świętym, jego kult za sprawą jezuitów szybko zaczął rozszerzać się na sąsiednie ziemie i objął rozległe tereny opanowane przez Habsburgów, w tym zamieszkiwane przez Polaków.

Do niedawna w naszym kraju naliczono blisko 3700 figur świętego, co świadczy o olbrzymiej jego popularności.

Święty Jan Nepomucen stał się patronem spowiedników oraz był czczony jako opiekun mostów, a także obrońca ludu i mienia podczas powodzi.

Według tradycji ludowej miał chronić uprawne grunty zarówno przed powodzią, jak i suszą, co wyjaśnia dlaczego wiele figur świętego ustawiono w pobliżu rzek i mostów oraz przy drogach i ich skrzyżowaniach.

Nieprzypadkowo kapliczka św. Jana została wzniesiona przy głównej drodze do Kopysna, w pobliżu potoku Kamiennego, który być może dawniej czynił szkody mieszkańcom, kiedy jego wody zbyt wzbierały.

Ponadto, niedaleko kapliczki od lat przebiegała droga prowadząca z zachodniej części Kopysna, od strony Kopystanki, i która przecinając główną drogę z Rybotycz do

Kopysna, poprzez potok Kamienny, biegła w kierunku wschodnim, omijając Rybotycze.

Ktoś, kto wybrał miejsce posadowienia kapliczki, musiał doskonale znać szczegóły związane z kultem św. Jana Nepomucena.

Figurka umieszczona w kapliczce bez wątpienia przypominała postać św. Jana Nepomucena<sup>4</sup>, choć z uwagi na upływ czasu i nieudolne próby jej ratowania, nie można dziś dostrzec wszystkich szczegółów, jakie pierwotnie posiadała.

Niewiadomo kto wykonał tę drewnianą figurkę. Najprawdopodobniej pojawiła się ona wraz z wzniesieniem kapliczki, co miało miejsce w 1848 roku.

Figurka przedstawia postać dorosłego mężczyzny o podłużnej twarzy, posiadającego wąsy i brodę i którego włosy, lekko kręcone, sięgają karku, przy czym wzrok ma skierowany przed siebie, a na szyi zawieszony krzyż.

Pierwotnie wyrzeźbiona postać świętego trzymała w rękach skierowany w stronę lewego ramienia drewniany krzyż, który w 1963 roku był uszkodzony poniżej poprzeczki. Po tym, jak złodziej zwrócił figurkę na początku XXI wieku, krzyż ten został naprawiony przez nieznaną osobę, lecz niestety po

---

<sup>4</sup> Zobacz <http://nepomuki.pl/nepomuk/poznaj.htm>

jakimś czasie znikł i do dziś postać świętego stoi bezradnie trzymając rozłożone ręce, jakby na coś czekała.

Figurka świętego ma na głowie metalową koronę z licznymi ostrymi wypustkami, co przeczy wyglądowi św. Jana Nepomucena, który zazwyczaj przedstawiany jest z biretem na głowie. Być może później „drewniany” biret po prostu rozsypał się ze starości i ktoś doszedłszy do wniosku, że metal jest trwalszy, wykonał z tego materiału koronę i włożył ją na głowę figurki świętego. Nie posiadając wiedzy o tym, ile ma mieć tzw. rogów, zrobił je według własnego uznania.

Odzienie figurki przedstawiającej świętego, składa się z komży rakiety wykończonej ażurową koronką. Niestety ktoś bezmyślnie, zamiast białej farby, użył brązowej i pomalował nią komżę, spod której w niektórych miejscach widać kolor niebieski.

Pod komżą jest sutanna, mogła to być talara, pozbawiona guzików, ale tego dziś nie da się sprawdzić z powodu upływu czasu i zatarcia szczegółów. Winna być w kolorze czarnym, ale osoba, która próbowała ratować zabytek, nadała jej kolor brązowy, spod którego jak poprzednio wystaje niebieska farba.

Na sutannę i komżę świętego narzucono pelerynę, prawdopodobnie almucję, ale tego nie da się uwodnić. Peleryna z zewnątrz jest w kolorze brązowym, a od strony wierzchniej

w kolorze niebieskim. Zazwyczaj peleryna była w kolorze białym, ale tak jak w przypadku wielu innych figur świętego, jest inna.

Koloru niebieskiego, popularnego w tych stronach, użyto wcześniej w stosunku do całej figurki świętego Jana, o czym świadczy jej obecność w wielu jej miejscach. Ktoś później musiał uznać, że kolor ten nie jest właściwy, więc pokrył figurkę kolorem brązowym, który spelzł po latach, dlatego też gdzieś tam widać dawną niebieską powłokę.

Spod długiej sutanny świętego wystają buty z uciętym noskiem, charakterystycznym dla większości figur św. Jana Nepomucena.

Kto ukradł figurkę św. Jana i ją później zwrócił? Tego już nie dowiemy się. Pytanie, co skłoniło tę osobę do kradzieży i zwrotu figurki, także pozostanie bez odpowiedzi.

\*\*\*

Nieco pobudzeni wizytą osoby, która z niewiadomych powodów zamieniła figurki, nadal czuwaliśmy oczekując na kogoś, kto porzuciwszy fragment mapy, poszukiwał czegoś co musiało mieć dla niej jakąś wartość, o czym nie mieliśmy wtedy pojęcia.

W tym oczekiwaniu zdarzało się nam wpaść w objęcia Morfeusza, ale szybko wyprowadzał nas z nich kuzyn podczas

„erupcji” chrapania, nad którą nie mógł zapanować. Ponadto, do naszego legowiska przyszli nieproszeni goście, mrówki, które bez naszej wiedzy postanowiły spenetrować nowe tereny, biegając po naszym ciele bez ustanku.

Po tych wszystkich wydarzeniach i upływie części nocy, nie byliśmy już tak bardzo czujni i nie musieliśmy zbytnio się o to starać, bo osoba na którą czekaliśmy, nie dbała szczególnie o zachowanie ostrożności.

Wtem, niemal jednogłośnie, spojrzawszy na siebie stwierdziliśmy, że ktoś zmierza w naszym kierunku, co nie było trudno zauważyć, bo wywijał latarką niczym mieczem, przez co nadałem mu imię Świetlik.

Czujni jak nigdy, czekaliśmy na to, co stanie się dalej.

Świetlik minąwszy las Grabnik, zboczył za niedużą brzozą w prawo i przedzierając się przez zarośla dotarł do potoku Kamiennego, bo usłyszeliśmy głośny plusk, jakby ktoś wpadł do wody. Widocznie poślizgnął się na kamieniach i stąd ten hałas.

Na chwilę zapadła cisza, lecz wkrótce znowu usłyszeliśmy, jak ktoś wolno zmierza w naszym kierunku ocierając się o gałązki drzew i krzewów, które trzaskając pod naporem jego ciała, jakby celowo dawały nam znać, gdzie się znajduje.

Nieznany nam osobnik, zwany Świetlikiem, był coraz bliżej. Idąc wzdłuż potoku Kamiennego skręcił w lewo i wspiąwszy się po zboczu wzniesienia, podszedł do kapliczki św. Jana.

Niewiele widzieliśmy, ale chyba zdjął plecak, z którego wyjął jakiś przedmiot. Przez chwilę, gdy zapalił latarkę, dostrzeżliśmy w jego ręku wojskową saperkę. Chwycił ją mocno i u podstawy kapliczki zaczął odgarniać nią ziemię, lecz napotkawszy korzenie drzew, uderzał nią coraz mocniej, aż słychać było jego stękanie.

\*\*\*

Przy kapliczce rosło wiele drzew, szczególnie grabów, a po jej lewej stronie od drogi stał olbrzymi buk z piękną rozłożystą koroną, którego wiek oceniano na ponad 100 lat i z tego powodu chciano okrzyknąć go pomnikiem przyrody, nadając mu imię Michał, od mieszkańca Kopysna, Jakubowa, lecz nie udało się.

Michał bardzo kochał Kopysno i zawsze podkreślał, że chce być tu pochowany, gdyż jak twierdził, nigdzie indziej nie ma „tak świeżego i zdrowego powietrza”, i czego doczekał osiągnąwszy kres swego życia.

Został pochowany na cmentarzu w Kopysnie, niedaleko dzwonnicy, pozbawionej instrumentów, które w czasie II wojny



światowej zdjęto i ukryto, by nie wpadły w ręce okupanta. Zrobiono to bardzo skutecznie, bo dzwony nie wróciły już nigdy na swoje miejsce i do dziś nie wiadomo, gdzie znajdują się.

\*\*\*

Zmęczony kopaniem Świetlik, usiadł i oparł się o kapliczkę.

Nie była okazała, wykonana z okolicznego kamienia miała jakieś 2 metry wysokości, a boczne ściany miały szerokość ok. 1,2 metra i była przykryta daszkiem namiotowym podbitym gontem, który niestety wymagał wymiany.

Świetlik siedząc przed kapliczką, włączył latarkę i trzymając w ręku jakiś papier, coś czytał, po czym schował go do kieszeni i zaczął kontynuować pracę. Musiał posiadać kopię mapy, którą porzucił poprzedniego dnia.

Nie był jednak za bardzo zadowolony ze swych postępów, bo co chwilę przerywał kopanie i wzdychał, mrużąc coś pod nosem. Natomiast my czekaliśmy na efekty jego pracy, które ujawniłyby cel jego poszukiwań.

Niestety, ale jak zawsze w takich sytuacjach winny jest czynnik ludzki. Kuzyn, który bardzo lubił mleko, a najbardziej takie prosto od krowy, wypił go zbyt dużo podczas kolacji, a że rzadko to robił, jego organizm zaczął wytwarzać gazy,

które trudno powstrzymać, a podczas ich wydalania z organizmu zachować pełną dyskrecję, nie informując o tym osób towarzyszących.

Kuzyn męcząc się, starał się zachować ciszę i doskonale udawało się mu do czasu, gdy przez nieuwagę szturchnąłem łokciem w jego brzuch, co wywołało efekt porównywalny niemal do wybuchu małej petardy.

Świetlik, czyli nasz nieznajomy, nie czekał z gratulacjami i szybko zwinąwszy swoje rzeczy uciekł, pozostawiając dół o szerokości i głębokości ok. 0,5 m, co zmierzylśmy w świetle latarki, korzystając z własnej miary, którą często stosowaliśmy.

Rozkładając u dłoni duży i mały palec jak najszerzej, przykładaliśmy je do linijki i każdy odczytywał odległość między nimi, która miała ok. 20 cm, stąd też w dłoniach mieliśmy miarę i dzięki temu z łatwością mogliśmy mierzyć różne rzeczy.

Było zbyt późno by zająć się wykopanym dołem, zwłaszcza że Babcia nie tolerowała nieobecności przy wspólnym śniadaniu i musieliśmy szybko wrócić do stodoły, by zaspokoić brak snu korzystając z pozostałej do wykorzystania części nocy.

\*\*\*

Następnego dnia, chcąc przekonać dziadków, że spanie w stodole było dla nas wielką frajdą, ze sztuczną radością na twarzach udaliśmy się na śniadanie, które jak zwykle cieszyło nasze kubki smakowe.

Świeżo upieczony chleb, którego wierzch przed upieczeniem Babcia smarowała rozmieszonym żółtkiem jaj..., jajecznica, twarożek ze szczypiorem, konfitury, miód... Nie chciało wstawać się od stołu.

Kuzyn spojrzawszy na brata i na mnie, wymownym wzrokiem wskazał, że musimy opuścić miejsce śniadań i udać się do stodoły, gdzie zawsze omawialiśmy ważne sprawy. Zastanawialiśmy się co zrobić z wykopanym przez Świetlika dołem. Pogłębić go i szukać aż do skutku?

Przy okazji oberwało mi się od kuzyna za wczorajszą nocną nieudaną wyprawę.

„W tak głupi sposób zostaliśmy zdemaskowani i dalej nic nie wiemy.”- stwierdził.

Miałem już odszczekać się, że nie powinien pić tyle mleka na kolację, ale naszą dyskusję przerwał Dziadek, który zawołał nas spod kuźni. Chciał byśmy pomogli mu wymienić pęknięte drewniane szczeble w drabinach stanowiących boki wozu drabiniastego, którym zwoził siano i snopy zboża.

Pomagając Dziadkowi przy wymianie szczebli, przypomniałem sobie, że muszę dla Babci przynieść z piwnicy kompot śliwkowy na obiad, i korzystając z okazji postanowiłem w samotności przemyśleć parę spraw.

Zastanawiałem się jaki cel przyświeca lokatorowi cioci Stefki, miłośnikowi motyli nocnych, który zamiast je łowić, kopie dół niedaleko kapliczki św. Jana, jakby dobierał się do nory borsuka.

Wątpiłem, by chodziło mu o nieszczęsne księgi powinności, które na pewno miały wartość historyczną, lecz nie skłoniłyby nikogo do takiego poświęcenia.

\*\*\*

„Chłopaki. Musimy wrócić na miejsce i spróbować samemu poszukać tego, czego szuka Świetlik.” – stwierdziłem.

„No tak, a jak chcesz to zrobić? Jesteś pewny, że Świetlik dobrze wybrał miejsce poszukiwań? Co jednak, gdy pomylił się?”- zapytał mój brat.

„Masz jakieś wątpliwości?” – odparłem.

Mój brat, jak zawsze bardzo dokładny, wyjaśnił nam, że Świetlik mógł pomylić się i kopać w niewłaściwym miejscu. Na mapie, którą dostaliśmy od Dziadka ktoś dyskretnie zaznaczając na niej kółko, postawił w środku kropkę

wskazującą na poszukiwane miejsce, które znajdowało się między drogą a kapliczką św. Jana.

Świetlik podczas nocnych poszukiwań widocznie uznał, że łatwiej będzie mu wyznaczyć miejsce poszukiwań od skraju drogi niż od kapliczki, którą na mapie oznaczano jedynie symbolem i niewiadomo było, gdzie jest dokładnie usytuowana.

Nasz nieznamy przeliczył z mapy odległość od drogi do poszukiwanego miejsca i wytyczając ją w terenie nie uwzględnił faktu, że obecnie droga prowadzi nieco bliżej kapliczki niż wskazywała mapa. Mapa, którą porzucił Świetlik pochodziła z lat przedwojennych, a przecież od tego czasu wiele zmieniło się.

Należało więc skorygować pomiary.

Udaliśmy się szybko w okolice lasu przy kapliczce św. Jana i zaczęliśmy szukać w terenie śladów dawnej drogi, co nie było łatwe po tylu latach.

Wielokrotnie przeszukaliśmy teren, gdzie dawniej mogła znajdować się droga i w końcu, odgrzebując stertę liści i martwych gałęzi, ujrzeliśmy charakterystyczne ciągnące się na pewnej długości wgłębienie wskazujące na koleinę i ślad drogi. Pomiędzy dawną drogą a obecną dzieliły je cztery metry.

Mieliśmy więc punkt zaczepienia, z którego należało odmierzyć wskazaną na mapie odległość do poszukiwanego miejsca.

Z uwagi na to, że mapa nie była precyzyjna i pozbawiona charakterystycznych punktów, do których można by się odnieść, by dokładnie wyznaczyć miejsce, uznaliśmy że nawiążemy do głównej drogi prowadzącej do Kopysna.

Wiedząc, że nasze wyliczenia i pomiary nie są dokładne, wokół wyznaczonego punktu, w którym mieliśmy zacząć poszukiwania, wyznaczyliśmy niewielką powierzchnię zaznaczając jej granice wbitymi w ziemię suchymi patykami. Teren ten należało przeszukać, co wymagało od nas wiele pracy.

Byliśmy bardzo podekscytowani i nie mogliśmy doczekać się, kiedy wreszcie zaczniemy kopać, nie zwracając uwagi na to, że jesteśmy obserwowani.

„Co wy tu chłopcy robicie?” – zapytał sąsiad dziadków, wyłaniając się nagle zza drzew.

„Szukamy grzybów.” – przytomnie odpowiedział kuzyn.

„Tutaj ich nie ma, a jak pojawiają się, to rzadko. Lepiej idźcie do Grabnika. Tam nie tylko kozaków, ale i borowików nazbieracie.” – poradził nam sąsiad dziadków.

„Może jutro tam wybierzemy się, bo musimy już wracać na obiad.” – rzekłem.

Skinąłem na chłopaków i wyszedłszy z lasu weszliśmy na drogę prowadzącą do wsi.

Sąsiad dziadków był bardzo wścibski i przez cały czas nie spuszczał z nas oka, aż zniknęliśmy za zakrętem. Na szczęście nie zauważył wbitych przez nas patyków, bo nie uwierzyłby, że zrobiliśmy to z powodu grzybów i zaczęłby niepotrzebnie węszyć. A gdyby zobaczył wykopany przez Świetlika dół, to już całkiem mógłby zacząć coś podejrzewać. Na szczęście wypełniliśmy go ziemią i przykryliśmy liśćmi.

Żeby nie wzbudzać podejrzeń postanowiliśmy swą akcję rozpocząć następnego dnia.

\*\*\*

Chcąc zrealizować nasz plan potrzebowaliśmy jedynie solidnej łopaty.

Wszystkie narzędzia do prac polowych u dziadków znajdowały się w pomieszczeniu obok kuźni, lecz nie mogliśmy niezauważeni tam wejść i wyjąć przedmiot naszego pożądanego, gdyż Dziadek od rana nie opuszczał kuźni reperując orczyk do wozu konnego.

Kuzyn próbował odciągnąć Dziadka i zająć rozmową, lecz na nic zdały się jego docieklive pytania m.in. o ciężar kowadła. Dziadek był mocno skupiony na pracy i krótko odpowiedział: „Muszę naprawić to do jutra, a o tym, o co pytasz, pogadamy później.”.

Z pomocą przysłała nam nieświadoma naszych zamiarów Babcia.

„Stary, przyjdź do kuchni, pomożesz mi przenieść ciężki garnek z wodą.” – zawołała z oddali przez otwarte drzwi do chaty.

Babcia nie zdradzając swoich pomysłów na obiad, widocznie myślała o jakimś daniu z kaczora, który biegając wokół domu, od dłuższego czasu kąsał każdego, kto stanął mu na drodze.

Chcąc po zabiciu zwierzęcia przygotować z niego pokarm, należało wcześniej pozbawić go piór, a do tego niezbędny był wrzątek, stąd też jej prośba o pomoc skierowana do Dziadka.

Dziadek bardzo lubił dania z drobiu, które przyrządzała mu Babcia, a że musiał być już głodny i chciał coś przekąsić, długo nie wychodził z kuchni.

Wykorzystaliśmy nieobecność Dziadka i wyjmując łopatę z pomieszczenia obok kuźni, udaliśmy się do sadów, skąd przenieśliśmy się w miejsce poszukiwań.



\*\*\*

Nie będąc przekonanym, że wyznaczone przez nas miejsce jest właściwe, próbowaliśmy wokół wcześniej zaznaczonej powierzchni zedrzeć wierzchnią warstwę runa leśnego i ziemi. Brat zauważył, że w jednym miejscu ziemia jest niejednorodna, tak jakby ktoś ją wymieszał, co mogło wskazywać na miejsce naszych poszukiwań.

Wbiłem łopatę i energicznie zacząłem usuwać ziemię z wykopu, licząc na szybki efekt naszych poszukiwań. Przeszkadzały mi w tym liczne korzenie, lecz nie poddawałem się. Kopalem coraz głębiej, lecz bez skutku. Zirytowany i zniechęcony, w pewnym momencie z całej siły rzuciłem łopatą w wykopany dół i wtedy usłyszałem charakterystyczny dźwięk wskazujący na ocierający się o szkło metal. Stalowe ostrze łopaty musiało uderzyć w coś szklanego.

Butelki po wódce, czy winie w latach 70. XX wieku często służyły za pojemniki na herbatę lub inną popitkę do kanapek, i do dziś można je spotkać w różnych miejscach, a zwłaszcza w lesie. Widocznie jakiś pracownik leśny nie chcąc uchodzić za śmieciarza, zakopał jedną z nich w ziemi, tylko dlaczego tak głęboko?

Powoli, z namaszczeniem, odsunęliśmy ziemię, wydając z wykopu lekko zarysowaną, lecz nienaruszoną, szklaną ciemną

butelkę, na której widniał wyraźny wypukły symbol książęcy w postaci mitry, a pod nim wypukły napis „Krasieczyn”, sporządzony wielką literą.

Później dowiedzieliśmy się, że była to butelka po piwie z książęcego browaru w Krasieczynie.

Butelka była pusta, ale dlaczego ktoś ją tu zakopał? Być może miała być niczym jaskółka, zapewniając poszukiwacza, że jest na właściwym tropie?

Postanowiliśmy kopać aż do skutku. Kuzyn przejął po mnie łopatę i mocno wymachując ją, pogłębiał wykop.

W pewnym momencie zazgrzytało coś od uderzenia łopaty. Czyżbyśmy wreszcie dotarli do celu naszych poszukiwań? Baliśmy się zajrzeć do wykopu, bo mógł to być jakiś pocisk lub niewybuch z ostatniej wojny.

Kuzyn, odważniejszy od nas, pochylił się nad wykopem i zaczął delikatnie odgarniać ziemię. Im dłużej to robił, tym bardziej ukryty w ziemi przedmiot ukazywał przed nami swoje kształty, i choć rzeczywiście na samym początku mógł przypominać pocisk, okazał się zwykłą kanką, w której przechowuje się mleko.

Próbowaliśmy wyszarpać z ziemi kankę, lecz każdy ciągnął ją w swoją stronę. W końcu kuzyn, który był od nas silniejszy, wyrwał nam ją z ręki i postawił na ziemi.

Przed nami stała metalowa, przeżarta nieco rdzą, nieduża kanka, zamykana mocną pokrywką, niemal identyczna do tej, w której Dziadek przechowywał mleko.

Próbowaliśmy ją otworzyć, ale mimo wielu prób, zrezygnowaliśmy licząc na to, później uda się nam ta operacja, zwłaszcza że nie chcieliśmy wzbudzać sensacji.

Byliśmy tak zaaferowani odkryciem, że nie usłyszeliśmy nadjeżdżającego wozu konnego i w ostatniej chwili, gdy znalazł się tuż przy kapliczce św. Jana, czmychnęliśmy z kanką w stronę potoku Kamiennego, zapominając zasypać wykop.

Jak zwykle idąc wzdłuż potoku dotarliśmy do sadu, a potem do stodoły, gdzie ukryliśmy swą zdobycz, nie zapominając umieścić łopaty w miejscu, skąd ją wzięliśmy. Czekaliśmy jedynie na dogodny moment, by zajrzeć do kanki.

\*\*\*

Byliśmy przekonani, że nikogo nie interesują zamiary i działania przybysza z Kanady, którego nazywaliśmy Świetlikiem. Myliliśmy się.

Od początku jego pobytu w Rybotyczach zainteresowane były nim lokalne władze. Niedaleko domu cioci Stefki, przy głównej drodze z Nowych Sadów do Birczy, znajdował się posterunek milicji. Sierżant Dyl, któremu powierzono sprawę,

wiedział od swoich przełożonych, że entomolog z Kanady nie jest osobą, za którą się podaje i bacznie zaczął mu przyglądać się, zwłaszcza po jego nocnym wypadzie na Kopysno.

Obserwacja milicji wzbudziła jego podejrzenie, czemu trudno dziwić się, bo za każdym razem, gdy wyszedł z domu cioci Stefki, podążał za nim funkcjonariusz w mundurze.

Następnego dnia, wczesnym rankiem Świetlik opuścił kwaterę, nie informując o tym cioci Stefki. Pozostawił jedynie na ceracie rozłożonej na stole w kuchni, parę dolarów jako zapłatę za pobyt i wyjechał do Przemyśla, po czym ślad po nim zaginął. Nie pojawił się już później zarówno w Rybotyczach, jak i w Kopysnie.

\*\*\*

Tej nocy nie mogliśmy zasnąć i snuliśmy różne pomysły w związku ze swoim odkryciem. Nie wiedzieliśmy, jak postąpić w przypadku, gdyby w znalezionej kance znajdował się prawdziwy skarb, w tym złoto, brylanty i kosztowne precjoza, o których wiedzę czerpaliśmy jedynie z książek i czasopism.

Oczami wyobraźni widzieliśmy artykuły na pierwszych stronach gazet informujące o naszym odkryciu, wierząc że staniemy się przez to sławni, nie mając przy tym pojęcia, że możemy mieć z tego jakieś korzyści materialne.

\*\*\*

Śniadanie zjedliśmy w pośpiechu, co zauważył Dziadek. „Nie spróbowaliście nawet konfitur..., co was tak goni?” – zapytał w takim tonie, jakby znał odpowiedź.

Nie wdając się w dyskusję, pognaliśmy do stodoły, gdzie poprzedniego dnia ukryliśmy naszą zdobycz i przykrywając ją sianem wierzyliśmy, że nikt jej nie dostrzeże.

Odgarnąwszy siano chwyciłem za kankę i w pośpiechu wyniosłem ją ze stodoły.

Kiedy próbowaliśmy zdjąć pokrywę z kanki, ku naszemu zaskoczeniu zza śliw rosnących obok stodoły wyłonił się Dziadek i rzekł - „Mogę wam pomóc ją otworzyć, bo sam jestem ciekaw co zawiera.”

Skąd Dziadek wiedział o naszej zdobyczy? Nie potrafiliśmy jednak w tak krótkim czasie znaleźć odpowiedź na to pytanie.

Później dowiedzieliśmy się, że Dziadek każdego dnia, zanim położył się spać i gdy inni już smacznie chrapali, miał zwyczaj obchodzić całe swoje gospodarstwo, które dokładnie znał.

Nic nie mogło ujść jego uwadze, a zwłaszcza nieduża kopka siana po prawej stronie wrót do stodoły, gdzie ukryliśmy kankę. Wiedząc o niej, nie miał zamiaru zdradzać tego nikomu i kierując się ciekawością jak my, także chciał wiedzieć, co się w niej znajduje.

\*\*\*

Nie mieliśmy wyboru, musieliśmy oddać kankę w ręce Dziadka, który posiadał odpowiednie narzędzia do jej otwarcia, a że doceniał to, co zrobiliśmy, pozwolił nam w tym czynnie uczestniczyć.

Kuzyn przetrzymywał kankę na kowadle, gdy Dziadek kowalskim młotem uderzał w zardzewiałą jej pokrywę, lecz pomimo energii jaką włożył, była niewzruszona.

Babcia słysząc głośnie uderzenia młota pomyślała, że Dziadek wrócił do kowalstwa, a że nie powinien już tego robić z powodu wieku i zdrowia, wybiegła z kuchni, by mu w tym przeszkodzić. Widząc go z młotem nad kanką odpuściła, lecz nie mogła powstrzymać się, by mu nie dociąć, jak to miała w zwyczaju, lecz nie należało tego źle rozumieć.

Zarówno Babcia i Dziadek czasem odzywali się tak do siebie, śmiejąc się powodu swej niedoskonałości związanej postępującym procesem starzenia, którego nie mogli powstrzymać.

„Oj stary, stary, nie potrafisz nawet kanki otworzyć.”- z charakterystycznym uśmiechem odezwała się Babcia, po czym, jako gospodyni, udzieliła Dziadkowi praktycznej rady.  
„Zanurz kankę w occie, a wieko puści.”- dodała.

„Widzicie chłopaki? Jeszcze nam tu brakowało dobrych rad Babci?” - odgryzł się Dziadek, posyłając jednak brata do kuchni, gdzie w czarnej szafie, do której z powodu cukru często zaglądały mrówki, stała duża butelka octu.

Kankę od strony pokrywy zanurzyliśmy w miednicy wypełnionej octem i nie spuszczać z niej oka czekaliśmy, aż kwas rozpuści rdzę.

Dziadek co jakiś czas podchodził, zaglądał, i po kilku godzinach wyjął kankę, wytarł szmatą i kazał nam położyć ją na kowadle, po czym znowu zaczął w nią walić młotem. Nagle coś zgrzytnęło i pokrywa kanki oderwawszy się od niej potoczyła się w stronę drzwi od kuźni, a z wnętrza wyleciały jakieś papiery owinięte w szarą tkaninę.

„No i mamy swoje skarby” – rzekłem nieco rozczarowany, licząc na coś więcej.

Tymczasem moi kompani nie mogąc powstrzymać swą ciekawość, rzucili się na owe papiery, które przed uszkodzeniem lub zniszczeniem uchronił Dziadek, i chowając je pod kamizelką, zapewnił wszystkich, że dokładnie obejrzą je później w domu.

\*\*\*

Babcia zawołała wszystkich na obiad mówiąc, że będzie z nami jeszcze pewien gość, którego nie byliśmy ciekawi

poznać, gdyż w tym momencie interesowała nas tylko zawartość odkopanych papierów, które zatrzymał Dziadek.

Pomagając Babci rozkładać naczynia na stole, który jak zawsze w lecie ulokowany był na wolnym powietrzu pod gruszą dającą wczesne i bardzo smaczne owoce, od strony Grabnika usłyszeliśmy głos silnika motocykla.

Ktoś zmierzał w naszym kierunku i wkrótce przekroczywszy przepust nad potokiem Kamiennym, ominął drogę dojazdową do Kettnerów i skręcił do domu dziadków.

Gdy silnik motocykla zamilkł, nieznany nam człowiek zdjął z bagażnika niedużą teczkę i skierował się w naszą stronę.

Przywitał się z wszystkimi, i zgodnie z życzeniem Dziadka, zasiadł do stołu, po czym wszyscy w milczeniu zajęli się spożywaniem obiadu.

Po skończonym obiedzie, gdy pomagaliśmy Babci zdejmować ze stołu naczynia, Dziadek wyjął papiery, które znaleźliśmy obok kapliczki św. Jana i rozłożywszy je na białym obrusie powiedział:

„Nie jestem historykiem, ani odkrywcą jak wy, niech więc ten pan z muzeum w Przemyślu wyjaśni wam, co zawierają odkopane przez was dokumenty.”

Zamilkliśmy na chwilę oczekując z niecierpliwością na wyjaśnienia.



„Przyznaję, że wasza dociekliwość i upór w pozyskiwaniu informacji są imponujące... .” – z niekłamany uznaniem wypowiedział się o nas pan Władysław, którego imię poznaliśmy później.

Pan Władysław wyjaśnił nam, że wykopane dokumenty są częścią jednego z kilku ukrytych archiwów dokumentujących działania pewnych oddziałów militarnych na terenie Pogorza Przemyskiego podczas ostatniej wojny i kilka lat po jej zakończeniu.

Jak stwierdził, archiwów takich zazwyczaj było kilka i przechowywano je często w metalowych kankach w miejscu znanym tylko nielicznym.

Zrozumieliśmy wtedy, że nasz nieznajomy Świetlik musiał być jedną z takich osób lub pozyskał wiedzę od kogoś, kto uczestniczył w ukryciu archiwum i licząc widocznie na jakiś zysk, przyjechał do Polski, by go odszukać.

Wśród papierów, których treści nie potrafiliśmy do końca zrozumieć, były jakieś protokoły, sprawozdania, instrukcje, materiały szkoleniowe i klucze szyfrowe.

Nie mieliśmy jednak ochoty zagłębiać się w treść odkrytych dokumentów, zwłaszcza że kończył się nasz pobyt u dziadków i musieliśmy jutro wracać do domu.